

*Godz. 20.53.*

Niebo ginie, pożerane przez potężne bezcielesne usta. Bóstwo w nieśpieszny ruch wprawiło machinerię zniszczenia. Beztankowe Efemerydy na drugiej zmianie w fabryce śmierci nadgryzają kęs po kęsie niezapominajkowe niebo, roztapiając w swoich bezślinowych ustach obłoki z cukrowej waty. Rozszarpane kawałki spływają do studni ich wiecznie nienakarmionych trzewi, subtelnie obsiadając na mogiłach przetrawionych ludzkich marzeń, które odeszły w bezistnienie wraz z nadejściem poranka, tak jakby budzące się ze snu słońce spalało ich jak zbyt wysoko wzlatujące motyle, parzyło ich skrzydła i czyniło niezdolnymi do lotu – do realizacji. Armia bezcielesnych marynarzy zdobywa kolejne wyspy nieba, pozostawiając za sobą bezcielesne ślady w odchodach nicości. Zaleje je przyływ granatu, tak jakby świat demonstrował skrywaną niechęć do próżni, jakby chciał zarzucić kurtynę na pierwszy akt dramatu podniebnego reżysera. Czyżby to niechęć do komercji, nowa idea ekscentrycznego artysty, który chciałby umrzeć w zapomnieniu?

Za chwilę zakróluj bezkonturowość, bezkształtność, bezbarwność. Światło ciemności pozbawiając ludzi cienia zrówna ich prawa, obali tyranie, uśmierci despotyzm, ogołoci bogatych, odzieje nędze, odbierze miłość i nakarmi tęsknotę. Za moment zginie świat pożarty przez boskie anioły. Tylko tam, gdzie dotkną go swoją pieśczołą złote latarnie pozostanie nietknięty, skryty jak dziecię utulone w ramionach matki. Marzenia, tęsknoty ukryte w bezpiecznym kokonie będą czekać przebudzenia w inkubatorze nadziei.

Ginący świat przyniesie sen. Przykryje nim niemą śmierć obdartej z godności ludzkiej istoty z wnętrzościami wypalonymi z pragnienia. Pamiętam jej mordercę: blade ciało, wewnątrz wypełnione pulsującymi żyłami ropy, usta spękane od niedosytu wody. Pustynia.

Swymi bezcielesnymi skrzydłami zasłoni pobliskie śmietnisko, a na nim pozbawione oddechu dziecko – przedwcześnie strącony owoc czyjejś niedojrzałej miłości – kompozycja modernistycznego artysty, niema symbolika śmierci, która strawi każdego z nas, tak jak te śmieci.

Zmęczony lotem przysiądzie na dziecięcym łóżku w bezkształtności rozpuszczając czarno-białą fotografię pamięci z uwiecznionymi konturami matki, która odeszła, ale już nie wróci – jakby naturze ludzkiej obce były powroty. Może to ta skrywana fascynacja do kroczenia naprzód, ciągle dalej i szybciej, byle do przodu.

Potem zwiedzi galerie jednego obrazu. Poskleja jego podarte kawałki, spajając w całość czyjeś rozszarpane serce. Delikatnie ulokuje je w swojej kieszeni i zabierze ze sobą wraz z ciepłym sznurem, który odebrał mu tchnienie.

Wygłodniały zatopi w cienistej kałuży lodówkę, która tak hojnie żywi czyjś niedosyt marzeń. Otępi reistyczną morfiną ludzki umysł, by nie pojmował, że dzielą ich dwa światy, że słodka czekolada, nowa sukienka, szybki samochód nie zdołają nakarmić spragnionych miłości uczuć.

Zaczarowany w cienistą kurtynę przysłoni arenę podrzędnego teatru z głośną rolą rozżłoszczonego szefa – nie będzie oklasków, ani komentarzy w wrzeszczących tabloidach.

Później przysiądzie na dziurce od klucza, spłoszy ciekawskie światło i wytrwale będzie czekał na nią – na swoją kochankę o cerze gasnącego księżycy. A ona przybędzie, jej zimny oddech nasyci powietrze fetorem zgnilizny, nakarmi wygłodniały ludzkiej obecności korytarz kościstym śladem stopy. Razem wybiorą się na kolacje i przetrawią na niej czyjeś istnienie.

Potem ukryją czyjś strach i uśpią czyjeś wyrzuty sumienia, tak szczelnie zamknięte w butelce więzienia. Nienasycona nienawiść nie doczeka spełnienia, odejdzie zziębnięta i wygłodniała, i przez to jakby mniej doskonała. Przedśmiertny żal przysiądzie na pajęczynie krat próbując pocerować ludzkie sumienia, zretuszuje je zanim zasiądą na boskiej ławie oskarżenia.

Noc nasyci ciemnością czyjś niedoskonałość ukrytą w wychudzonej twierdzy ludzkiego ciała. Zatrze pamięć o spragnionych masła kanapkach, spoczywających w mogile zapomnienia dolnej szuflady drewnianego biurka.

Odbarwi ludzkie ciało i ktoś przestanie być biały, czarny, żółty. Wszyscy będą bezkształtni, bezkonturowi – równi. Ginący świat nikogo nie ocali. Rasą nie wykupi się człowiek od śmierci. Każdy stanie się przecież bezbarwny. Bezistnienie rozpuści nas w braku właściwości.

Świat ginie, zatapia się w granatowym oddechu nieba usypiając lęki, marzenia, wyrzuty sumienia. Umiera, samotny, pozbawiony nawet cienia, z uśpioną publiką, która nieśpiesznie wyczekuje przebudzenia. Za chwilę niebo rozpuści w swych bezzębnych ustach zmęczoną ziemię. Książę nocy pocałunkiem dokona uśpienia, a ona bezpiecznie wtulona w kołyskę półśmierci będzie czekać ponownego zaistnienia.